

Uwielbiam powiastki filozoficzne, zwłaszcza francuskie z okresu Oświecenia, wszystkie te „Prostaczki”, „Kubusie Fatalisty”, „Kandydy”, „Emile”, bohaterowie „listów perskich”. Te bajki — niebajki mają dla mnie przedziwny urok. Są pisane lekko, dowcipnie, a filozoficzne przesłanie autora — dziś czasem tracące naiwnością — wyłożone jest jasno i pięknie.

Twórczością Macieja Wojtyzki zafascynowana jestem od wielu lat. Już nie pamiętam kiedy po raz pierwszy zetknęłam się z jego piękną książeczką „Bromba i inne”. Zachwalałam ją wszystkim. Dorosli patrzyli na mnie podejrzanie, że czytam książki dla dzieci, a młodzi przyjaciele — rozczarowani, że „tak mało się dzieje” na stronach tych opowiadań, nie rozumiejąc tych zachwyty. Potem były wspaniałe telewizyjne bajki dla dzieci i wreszcie znacznie poważniejsze felietony „Krótki zarys męki twórczej” w miesięczniku księży Michalitów „Powsięgliwość i Praca”. Wszystko, co opatrzone jest nazwiskiem „Maciej Wojtyzko” przyjmuję jako dzieło najwyższego lotu.

Tak więc moja recenzja nie może być obiektywna.

Spektakl w teatrze POSK-u był jednym z najlepszych jaki mi się zdarzyło widzieć na tych deskach. Wspaniała praca reżysera, który potrafił za pociągnięciem kilku gestów stworzyć sceny, wybitnie malarskie jak np. podróż statkiem czy teatr paryski. W dodatku — jak poinformowali mnie rodzimi szpiedzy — udało się Wojtyzce przenieść przedstawienie wymagające 60-osobowej obsady na scenę emigracyjną, na której zgromadzenie dziesięciu aktorów przedstawia problem.

O aktorach mogę pisać w samych superlatywach. Podobał mi się właściwie wszyscy, choć do każdego z nich mogłabym przyczepić złośliwą łatkę.

A więc — na tych „łatkach” niech skupi się moja uwaga (bo o osiągnięciach niech piszą inni). Od

## Kandyd wolteriański czy polski?

kogo zacząć? Wybór nie jest prosty. Wszyscy są świetni.

Nie. Nieprawda. Świetności nie ma, tak jak nie istnieje „najlepszy z światów”.

Więc jak? Po kolei? Nie. Od Kandyda nie zacząć. Zbyt smakowity to kąsek.

A więc profesor. Daniel Woźniak — gwiazda naszej emigracyjnej sceny, zawsze równie dobry, zawsze wchodzący w rolę całym sobą... Czy aby na pewno? Czasem odnosiłam wrażenie, że on rolę odgrywa, a ich nie czuje. To nie zarzut. To pewna szkoła widzenia teatru. W „Kandydzie” też był bez zarzutu, ale gdzieś mu zabrakło charakteru. Gdy przeistaczał się w mistrza Pankrosa, tracił na swej osobowości. Nie potrafił wyjść poza przypisaną mu przez reżysera koncepcję farsowego artysty.

Podobne trudności przeżywał Jacek Jeżerzański, który pomimo fizycznej obecności na scenie, przez połowę spektaklu, właściwie był nieobecny. A potem się zjawiał — jako mistrz Martin, stał się kimś, nabrał temperamentu, stał się pewny siebie (dlaczego mu tego tak brak!). Potrafił wyjść poza konwenans farsy.

Tego problemu udało się uniknąć Grzegorzowi Stachurskiemu, który był znakomitym Żydem (cóż za efekty akustyczne w pojedynku!) jak i później referentem z Eldorado. Po kilku nie udanych rolach (np. w „Policjantach” Mroźka), Stachurski powrócił na POSK-ową scenę w formie znakomitej. Wiedźma w „Skrzypcowej duszy” przeistoczyła się w równie cieleśnie „namacalnego” Żyda.

A panie? najpiękniejsze. Od pierwszej poczynając — Doroty Kwiatkowskiej. Cóż za uroda i aktorski talent! Piszę za mało z kobiecej zazdrości. Skąd Urszula Świącicka te wszystkie wspaniałe aktorki wynajduje?

### Katarzyna Bzowska

Wystarczy wspomnieć drugą gwiazdę (perłę wciąż jeszcze wymagającą pewnego szlif) — Annę Kazimierczak.

To o pół kroku starsze pokolenie, tzn. Dorota Zięciowska i Zofia Walkiewicz, zostało przyćmione, choć każda z tych pań miała również swój wybitny udział w sukcesie — Zięciowska opowiadająca tak wspaniale swą niby okrutną historię i Walkiewicz — przeistaczająca się z figury na dziedwie masztu, w zmysłową pannę nie najbardziej surowych obyczajów. Ale wspaniała Zosiu, po cóż było ci iść w krzyk, kiedy to chciałaś przedstawić się jako najlepsza, choć srogo doświadczona kurtyzana? Tadeusz Chudecki. No cóż. Nie umiem pisać o nim bez zachwyty. To sam żywił i aktorski wdzięk. A Wojciech Piekarski? Wyrafinowany koneser obarczony baronowskimi, dziedzicznymi ułomnościami — śmieszny i wzruszający. Po okresie młodzieńczej urody, aktor ten wchodzi w życie jako dojrzały mężczyzna. I robi to umiejętnie i z talentem.

I tu przyszło mi pisać o Kandydzie.

I cóż z tym zrobić? Wspaniale wyglądający mężczyzna, kreujący swą najlepszą na scenie POSK-u rolę, Janusz Szydłowski był dla mnie pewnym nieporozumieniem. Tu instykt reżyserski Wojtyzskę zawiodł. Gdzie jest powiedziane, że Kandyd ma być urodziwy? Ma on być wyrazem swobody, niedostosowania do konwencjonalnych stosunków. Ma być wyrazem swobody i naturalności. „Kandyd czyli optymizm”.

A Szydłowski to typowy dobrze ułożony amant i bawidełek, ale warunki ma świetne.

W tym momencie przypomina mi się przedstawienie z początku lat 70. „Kubus Fatalista i jego pan”. Podobny punkt wyjścia — powiastka filozoficzna, podobne i równie wspaniałe, dynamiczne przedstawienie. Jednak tam osobą centralną był Zbigniew Zapasiewicz, czyli Kubus. W londyńskim spektaklu „Kandyda” główny bohater właściwie nie wychodził poza to, że był łącznikiem poszczególnych scen. Nie przykuwał uwagi. Gdzieś podział się wolteriański Kandyd?

Pierwsza część przedstawienia przypominała mi brytyjski film

względem na to, czy są z tej czy z tamtej strony granicy.

Ta druga część przedstawienia nagle ożyła. Po refleksji w czasie przerwy — jak długo możemy się tylko bawić? Nadeszły współczesne odnośniki.

Cóż za spektakl! Cóż za reżyseria! I aktorzy! I jeśli dodać znakomite teksty piosenek samego Wojtyzki, z muzyką dobrze znanego Jerzego Derfla i jeszcze efekty akustyczne i cały podkład satyr. Jego piosenki mogą funkcjonować znakomicie w kabaretach politycznych, „Eldorado”, czy też pieśń o byłych królach, którą dedykuję wszystkim u władzy, bez



Kandyd w Eldorado. Dorota Kwiatkowska — Res, Dorota Zięciowska, Zofia Walkiewicz, Anna Kazimierczak, Janusz Szydłowski i Tadeusz Chudecki